

TAJEMNICZY THRILLER PSYCHOLOGICZNY,
KTÓRY WKRA DA SIĘ AŻ POD SKÓRĘ

CYNTHIA SWANSON

SZKLAN Y
LAS



CYNTHIA SWANSON

SZKLANY LAS

PRZEŁOŻYŁ

Przemysław Hejmej



TYTUŁ ORYGINAŁU:
The Glass Forest

Redaktor prowadząca: Marta Budnik
Redakcja: Adrian Kyć
Korekta: Małgorzata Lach
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Kristo Robert (Shutterstock.com)
DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2018 by Cynthia Swanson

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Przemysław Hejmej, 2019

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek
techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzed-
niego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest za-
bronione.

Wydanie I
Białystok 2019
ISBN 978-83-66234-66-6



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiectwo
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Angie

Okręg Door w stanie Wisconsin, rok 1960

Dzień zaczął się jasno i rześko – idealny wrześnieowy poranek nie zapowiadał tego, co miało się zdarzyć. Gdy Pi Dżej obudził się z drzemki, ubrałam go w sweterek, rozciągliwe spodenki z dzianiny oraz dobraną do nich czapkę, czyli pozostałości po dzieciach mojej siostry Dorrie. Trzymając małego na biodrze, wyszłam z domku. Całą noc padało; wciągnęłam w płuca duszny zapach, znany mi jak woń własnej skóry, zapach wezbranych wód jeziora i prześwitujących lasów stanu Wisconsin.

Pod moimi stopami zachrząścił piasek na ścieżce, naszej ścieżce, wiodącej wzdłuż gruntowej drogi do North Bay; jak wszyscy mieszkańcy North Bay Drive posypaliśmy piaskiem szutrową, uwalaną olejem napędowym szosę, tworząc własny szlak, aby zminimalizować ryzyko pobrudzenia butów tą kleistą substancją. Po rozklekotanych drewnianych schodach zesłam ku zatoce, uważając na błoto, które po każdym ulewnym deszczu przywierało do stopni. Znalazłszy się na dole, przedarłam się z chlupotem przez wysoką, brudną trawę aż do samej wody;

tam za pomocą jednej ręki odwróciłam na właściwą stronę lekkie płócienne canoe, które mój dziadek wykonał sam kilkadziesiąt lat temu. Podczas weekendu Paul przygotował dla Pi Dżeja małe siedzisko z drewna wyściełane miękkim materiałem i odchylające się do tyłu, usytuowane na środkowej ławce canoe. Nie mogłam się doczekać, aż je wypróbuję.

Nucąc cicho pod nosem, przypięłam dziecko skórzanymi pasami, które Paul umocował po obu stronach ławeczki. I rozmyślałam o poprzednim wieczorze. O deszczu tłukącym w blaszany dach domku, dudniącym mi w uszach, gdy bzykaliśmy się z Pauliem wśród zmierzwionej pościeli, spleceni w ciasnym uścisku. W końcu, kiedy w ostatnim akcie wykrzyknęłam jego imię, mój głos przebił się ponad huk wody spływającej po okiennych szybach. Potem leżeliśmy cicho, nasłuchując coraz rzadszych grzmotów; burza oddalała się na wschód, nad jezioro Michigan. Serce zalała mi wdzięczność – za moje małżeństwo, za moje życie, za przyszłość – i otoczyła je tak szczelnie i pewnie, jak Paul otaczał moje ciało.

Teraz, dwanaście godzin później, na samo wspomnienie zaczęłam oddychać szybciej. Powiosłowałam w głąb zatoki, którą mieliśmy z Pi Dżejem tylko dla siebie, nie licząc grupki kaczek blisko brzegu, unoszących się sennie na wodzie, oraz pary mew nieco dalej. Sezon żerowania komarów właściwie już się skończył. Tylko ważki fruwały nad taflą jeziora; w świetle słonecznym ich skrzydła migotały purpurą i błękitem.

Odłożyłam wiosło i pozwoliłam, aby canoe podryfowało swobodnie. Ukojony łagodnym kołysaniem łodzi, Pi Dżej gaworzył wesoło, obserwując lot ptaków na niebie.

Podniosłam wzrok, osłaniając oczy przed słońcem, a wtedy po mojej prawej coś gwałtownie plusnęło w wodzie. Szybko spojrzałam w tamtą stronę i zdążyłam jeszcze zobaczyć pstrąga wyskakującego z głębin jeziornych. Gdy znów schronił się pod wodą, na jej powierzchni rozeszły się pulsujące zmarszczki.

Poczułam, jak z powodu nagłej zmiany pozycji canoe przechyla się ostro. Pi Dżej żałośnie zapłakał. Odwróciłam się: dziecko przeturlało się na bok, jego głowa dotykała już wody. Lada chwila to samo miało się stać z ramionami i tułowiem. Skórzane paski oderwały się i straciły kontakt z ławką – najwidoczniej Paul nie przymocował ich dostatecznie mocno.

Rzuciłam się do przodu i złapałam malca za kostki u nóg dokładnie w chwili, gdy cały zanurzył się w wodzie. Canoe znów się zachwiało, zmuszając mnie do gwałtownego siadu; kiedy próbowałam się wyprostować, boleśnie uderzyłam biodrem o ławkę.

Dziecko zawodziło, kompletnie zaskoczone, włosy miało mokre, do jego oczu i uszu przedostała się woda z jeziora. Przytuliłam je do piersi i pogłaskałam po wilgotnej główce.

– Nic się nie stało, maleńki – mruczałam. – Jesteś bezpieczny.

Ucałowałam Pi Dżeja w czoło, mocno tuląc go do piersi, i przeżegnałam się wolną ręką. Dziękuję, Najświętsza Panienko, modliłam się w duchu. Dziękuję, że masz nas w swojej pieczy.

Nieopodal dryfował drewniany pagaj. Wpatrywałam się w niego, cała drżąca. Zabezpieczyłam dziecko lewym ramieniem, a prawą rękę wbiłam w wodę i tak wiosłując, dopłynęłam canoe do samego pagaja. Wyciągnęłam go, a potem jeszcze mocniej przytuliłam malca do siebie. W dziwny sposób, posługując się jedną ręką, ruszyłam w stronę brzegu – ruch ten był pozbawiony wszelkiej gracji, za to stabilny.

Telefon zadzwonił, kiedy przekraczałam próg domu – dwa krótkie dzwonki oznaczające, że połączenie przez wspólny osiedlowy numer dotyczy właśnie nas. Wciąż roztrzęsiona, ściągnęłam zabłocone kalosze, popędziłam do łazienki, owinęłam dziecko ręcznikiem, a następnie położyłam je na rozkładanej sofie.

Przeszłam przez miniaturowy salon naszego domku letnikowego i podniosłam z biurka słuchawkę telefonu, jednocześnie – drugą ręką – ścisząc radio; zapomniałam je wyłączyć, zanim wybrałam się nad zatokę. Przez cały ranek na antenie rozgłośni WDOR dyskutowano na temat wczorajszej debaty prezydenckiej. Ktoś stwierdził, że o ile wiceprezydent Nixon okazał się lepszy w dyskusji radiowej, o tyle w debacie telewizyjnej zdecydowane zwycięstwo odniósł senator Kennedy. Gdy usłyszałam te słowa dzisiaj, wczesnym rankiem, w radosnym geście uniosłam zaciśniętą pięść. Za niecałe dwa miesiące miałam po raz pierwszy w życiu głosować w wyborach prezydenckich. Senator ze stanu Massachusetts cieszył się moim pełnym poparciem.

– Ciocia Angie? – Żeński głos po drugiej stronie linii telefonicznej nie wydał mi się znajomy. W końcu mam kilkanaścioro siostrzenic i bratanków – jestem najmłodsza z sześciorga dzieci, a każdy mój brat i każda siostra mają kilkoro własnych potomków – lecz tylko garstka z owych dzieciaków byłaby na tyle duża, aby samodzielnie do mnie zadzwonić. A spośród tej garstki żadne nie odznaczało się tak dojrzałym głosem. Głos mojej rozmówczynie nie miał jeszcze intonacji osoby dorosłej, ale z pewnością nie należał już do dziecka.

Tylko jedna osoba w tym wieku mogła się zwracać do mnie per „ciociu”.

– Ruby? – zapytałam. – To ty? Coś się stało?

Odpowiedź nie padła. Rozejrzałam się po pokoju: Pi Dżej gaworzył coś do siebie, targając za luźne nitki poduszkę na sofie. Biorąc pod uwagę to, co przeżył na zatoce, wydawał się cudownie spokojny. Co za ogromne szczęście mieć tak pogodne dziecko, bo przecież od wszystkich sióstr i bratowych ciągle słuchałam tylko narzekań na temat kolek i niesfornych zachowań ich pociech.

– Załatwiliśmy sobie mistrza świata – mówił Paul, kiedy się nad tym cudem zastanawiałam. – Ten mały to nasz wielki sukces, Aniele.

Uśmiechnęłam się, także do swojego przezwiska. „Anioł”.

W słuchawce rozległ się ledwie słyszalny dźwięk – nie słów i raczej nie odchrząkiwania. Miałam nadzieję, że to Ruby, podejrzewałam jednak starą panią Bates, mieszkankę tej samej ulicy, która korzysta ze wspólnej osiedlowej linii, aby złowić jak największą liczbę plotek niczym łasica podążająca za żywą przynętą.

– Ruby? – powtórzyłam. – Jesteś tam? Wszystko w porządku?

– Nie – odpowiedziała tym swoim napiętym głosem, pozbawionym emocji i chłodnym jak woda w zatoce. – Nie, ciociu Angie, nie jest w porządku. – Nastąpiła kolejna pauza, po czym Ruby dodała: – Ciociu Angie, mój tata nie żyje. A mama uciekła.

Ruby

Stonekill, stan Nowy Jork, rok 1960

– Mama zostawiła list – mówi Ruby przez telefon do swojej ciotki Angie. – Informuje w nim tatę i mnie, że odchodzi. – Głos dziewczyny zniża się do szeptu. Ruby ciągnie: – Przeprasza, ale życie jest za krótkie na czekanie.

– To okropne, Ruby – odpowiada ciotka Angie. – Po prostu straszne.

Ruby milczy. Po krótkiej chwili ciotka pyta:

– A twój tata...?

Owijając przewód od telefonu wokół kciuka, Ruby wprowadza ciotkę Angie w pozostałą część tej historii: ciało ojca znaleziono w lesie, wśród liści, zaledwie kilka metrów za domem, w którym zamieszkiwała ich rodzina.

– Tata leżał przy pniu dębu, a koło niego walał się pusty kubek do herbaty – mówi Ruby. – Teraz policja sprawdza, czy nie było w nim trucizny. Powiedzieli mi, że koroner prawdopodobnie uzna to za samobójstwo.

Ruby przemawia spokojnie, rzeczowo. Bądź co bądź tylko referuje fakty.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A
15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059